

Marek A. Cichocki, Dariusz Gawin, Andrzej Gniazdowski, Jarosław Gowin, Dariusz Karłowicz, Paweł Kowal, Zdzisław Krasnodębski, Jan Ołdakowski, Jacek Salij OP, Zbigniew Stawrowski, ks. Tomasz Węclawski, Bronisław Wildstein

Polska po kwietniu

Zapis dyskusji, która odbyła się w Muzeum Powstania Warszawskiego 30 maja 2005 roku.

DARIUSZ KARŁOWICZ: Podczas kwietniowych wydarzeń związanych ze śmiercią Ojca Świętego uderzyły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze – kwestia języka. Używając pewnej metafory (bo teologicznie byłoby to pewnie niepoprawne) – mieliśmy w Polsce do czynienia z jakimś rodzajem zbiorowego wylania Ducha. Ludzie patrzący wtedy na nas z boku mogli odnieść wrażenie, żeśmy się opili młodym winem. Jednym z objawów tej narodowej Pięćdziesiątnicy było coś w rodzaj daru języka – chodzi mi o dar, który sprawił, że zaczęliśmy mówić zrozumiale, po swojemu. Na pewien czas, zwłaszcza z uczelni i z mediów, zniknął ten sztuczny językowy potworek, który bardzo skutecznie zagradza dostęp do rzeczywistości. Tym, co wydaje mi się najbardziej ciekawe, jest fakt, jak bezpardonowo Duch Święty potraktował postulat neutralności polskiego forum publicznego. W poniedziałek, czyli w dwa lub trzy dni po śmierci Ojca Świętego, wychodziłem ze studia u Jana Pospieszalskiego

i z rozbawieniem zdałem sobie sprawę, że za ledwie trzy miesiące wcześniej miała miejsce afera na całą Polskę, bo Pospieszalski zakończył program, mówiąc: „Zostańcie z Bogiem”. Nie było wtedy autorytetu moralnego, który nie wypowiedziałby się krytycznie o tej skandalicznej, naruszającej obowiązkową neutralność wypowiedzi. Tymczasem w te dni żałoby awantura w telewizji wybuchłaby zapewne, gdyby ktoś zakończył program, nie mówiąc: „Zostańcie z Bogiem” – do czego zresztą raczej nikt nie dawał wtedy okazji.

BRONISŁAW WILDSTEIN: *Ad vocem.* Szef TAI Kozak zakazał mówić „Ojciec Święty”, czemu się nie podporządkowali dziennikarze – i o to była później awantura.

DARIUSZ KARŁOWICZ: Bo klimat był niezwykle podniosły, i jeśli coś go czasem naruszało, to tylko mimowolnie kabaretowy efekt dewocyjnych uniesień niektórych gwiazd

ekranu, które z pobożnością kojarzą się mało albo wcale. Ale bardziej uderzające było co innego. Chodzi mi o niezwykłą łatwość, z jaką ten język i duch opanował polskie media. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że dyskurs, który się w telewizji i w mediach w tym czasie pojawił, miał więcej wspólnego z naturalnym językiem wspólnoty politycznej niż ten *quasi*-neutralny żargon, który słyszymy na co dzień. Wydaje mi się, że ujawniło się coś interesującego, dotyczącego natury dyskursu wspólnotowego. Jakbyśmy wrócili do domu. Swoboda, z jaką wszyscy zaczęli tak mówić, dawała wrażenie, jakby na chwilę przestano udawać, nie siląc się na mówienie w obcym sobie i widzom języku. Dar języków i prawda o języku. To jedno.

Druga myśl dotyczy czegoś, co u niektórych komentatorów wywoływało trwogę. Anarchiczność tej sytuacji. To, że wymknęła się spod kontroli. Dla jednych przerażająca była właśnie nieneutralność dyskursu, to, że uciekł spod kontroli politycznej poprawności. Rzecz jasna, klimat nie pozwalał na otwartą krytykę. Ale ten niepokój widać było dość często, choćby u tych, którzy z ledwo skrywaną nadzieją w głosie prorokowali, że „to uniesienie zaraz się skończy”, że „zaraz wszyscy znów się wezmą za łby”, tak jak kibice Cracovii i Wisły. Ale była i druga strona: razem z Markiem Cichockim rozmawialiśmy z wybitnym politykiem PO, który martwił się, że w Polsce z tak wielką siłą objawił się pierwiastek anarchiczny, nieinstytucjonalny. I rzeczywiście, widać było gołym okiem, że Kościół hierarchiczny pozostał w tyle za tym, co się działo. Wydarzenia wyprzedzały wyobraźnię duszpasterzy, co nierzadko bywało zresztą przyjmowane z żalem. Przypominam sobie, że kiedy pojechałem w nocy na rozświetloną zniczami aleję Jana Pawła II, miałem wrażenie, że modlący się ludzie czekali na księży, którzy zmówią z wierzynymi różaniec, że czekano na spowiedników.

Wyczuwało się tam to oczekiwanie. No i z wielu stron słyszało się potem – choć pewnie było tam sporo głosów różnych neofitów – najróżniejsze żale, że ktoś przyszedł pod kościół, a kościół był zamknięty, i tak dalej.

Muszę powiedzieć, że przyjąłem to osamotnienie z nadzieją, bo miałem wrażenie, że symbolicznie skończyła się pewna epoka, że symbolicznie skończyła się epoka, nazwijmy to, Kościoła księdza kardynała Wyszyńskiego. Takiego Kościoła, w którym hierarchowie instruują wiernych, co mają robić. Nigdy dotąd tak silnie i na taką skalę wierni nie poczuli, że są Kościołem. I nie chodzi o jakieś hermetyczne dokumenty o laikacie, które analizują zamknięte w Episkopacie komisje i rady, ale o potężne i żywe doświadczenie Kościoła. Dlatego traktuję to osamotnienie jako opatrnościowe i z optymizmem myślę o jego duchowych następstwach.

I jeszcze jedno: chodzi o możliwe praktyczne konsekwencje tego impulsu, jaki dał kwiecień. Ja sam mam nadzieję przede wszystkim na usystematyzowanie pracy nad dziedzictwem, które Jan Paweł II zostawił po sobie. I nie chodzi mi tylko i nie przede wszystkim o badania naukowe, ale o pomysł na uwewnętrznienie świadectwa, o ćwiczenia duchowe całego Kościoła. Dlatego szczególnie ważne wydaje mi się przemyślenie tego pontyfikatu z perspektywy Kościoła lokalnego, Kościoła polskiego. Trzeba zdać sobie sprawę, że otrzymaliśmy dar: skierowano do nas szereg listów apostolskich, które pisał ktoś, kto znał nas bardzo dobrze, dobrze rozumiał i kochał – a to jest ogromny kapitał duchowy. Pytanie, czy potrafimy je czytać i medytować – tak jak Koryntianie czytali listy świętego Pawła czy Klemensa Rzymskiego – jako pewien rodzaj ćwiczenia duchowego, jako materiał do namysłu nad zespołem własnych wad, nadziei, doświadczeń, własnej drogi do nawrócenia. Wydaje mi się, że to bardzo ważne pytanie.

Polska po kwietniu

Zapis dyskusji

MAREK A. CICHOCKI: Chciałbym zwrócić uwagę na to, jak wydarzenia z pierwszego tygodnia kwietnia były postrzegane przez intelektualistów i polityków. Myślę, że można tu poczynić ciekawe obserwacje, świadczące o ogólnym stanie ducha w Polsce. Wielu socjologów, próbując odnieść się do tego fenomenu wielkiego społecznego poruszenia, stwierdziło, że z jednej strony rzeczywiście miało miejsce coś fascynującego – pewien fenomen, ale z drugiej strony także coś niebezpiecznego, a przynajmniej niepokojącego. Coś, co może zostać np. przez świat polityki w sposób bardzo niedobry zawłaszczane. Coś, co nazywane jest rewolucją duchową, przemianą duchową, która w jakiś sposób właśnie w tym pierwszym tygodniu kwietnia się zmanifestowała i teraz może być w cyniczny sposób przez polityków wykorzystana. Nie chciałbym całkowicie bagatelizować tego niebezpieczeństwa. Dla mnie problem polega przede wszystkim na tym, że w tych socjologicznych opisach wywód musi nieuchronnie prowadzić do konkluzji dotyczącej niebezpieczeństwa. Socjolog, z troską psychoterapeuty, próbuje przestrzec społeczeństwo, żeby za dużo sobie nie obiecywało, bo i tak wiadomo, że to wszystko musi się bardzo nieładnie skończyć. Że ten okres duchowego i moralnego uniesienia musi w którymś momencie sprowadzić nas z powrotem w sferę raczej bagienne.

Z drugiej strony ciekawa była reakcja polityków. Darek już wspominał o rozmowie (która rzeczywiście była dla mnie szokująca, muszę przyznać) z pewnym wybitnym politykiem, który wyraził – to była opinia wypowiedziana

na gorąco, w pierwszym tygodniu kwietnia – tonem autentycznej złości i irytacji swoje obawy, że oto ludzie całkowicie odwrócili się od polityki i instytucji państwa, porzucili je.

DARIUSZ KARŁOWICZ: Że ten nurt nie idzie kolejnymi instytucji, Kościoła i polityki. A to znaczy, że tak naprawdę poszedł sobie gdzieś bezdrożami, po rozlewiskach...

MAREK A. CICHOCKI: A więc ów polityk uważał, że jest to zjawisko szalenie niebezpieczne, bo tym samym społeczeństwo staje się politycznie niesterowne, a poza tym wpada – taka była konkluzja – w ręce różnego rodzaju szarlatanów ze sfery mediów, którzy próbują sytuację wykorzystać i ustawić się w roli społecznych przywódców, i poprzez pewne nośniki mediów interpretują, wskazują różne wzorce. Wydaje mi się, że gdyby porównać te dwie sfery, czyli tę – mówiąc umownie – naukową, intelektualną, i tę polityczną, to w swoich reakcjach obie nacechowane były przede

...to rzeczywiście wyglądało na powtórkę z '79 roku. Ci trochę na co dzień zawstydzeni swoim chrześcijaństwem gimnazjaliści i studenci mieli takie miny, jakie mieli Polacy w 1979 roku, kiedy się okazało, że sprawy dla nich ważne są ważne dla wszystkich. Widziałem, jak ludzie rozglądają się wokół i myślą sobie: To aż tylu z nas się żegna? To aż tylu z nas się modli? To aż tylu nas jest!

wszystkim lękiem. Odniosłem wrażenie, że na to, co się wydarzyło – te dwie sfery zareagowały w większości tak właśnie: że oto społeczeństwo zerwało się ze smyczy, że nagle zaczęto odczuwać to jako brak możliwości kontroli tego, co się dzieje. Jak powiedziałem, politycznie społeczeństwo zaczęło się przedstawiać jako niesterowne i tym samym wzbudzać pewien lęk.

Ta reakcja na początku – przyznam – zaszokowała mnie. Ale potem pomyślałem sobie, że jednak wkomponowuje się ona w pewną filozofię polityczną, która do tej pory opisywała świat polityki w III Rzeczypospolitej, i w taki

scenariusz, który powtarzał się przy wszystkich papieskich pielgrzymkach do Polski. Scenariusz polegał na tym, że aktualizacja wspólnoty politycznej odbywała się w sferze niepolitycznej. Dojmującym doświadczeniem wszystkich papieskich pielgrzymek do Polski było to, że aktualizowała się na naszych oczach wspólnota polityczna Polaków, ale zawsze poza sprawami politycznymi, poza państwem, poza obszarem politycznym.

DARIUSZ KARŁOWICZ: Tylko że tym razem stało się coś więcej. Podczas pielgrzymek Kościół aktualizował się jednak w granicach mszy papieskich, w sensie miejsca, przestrzeni symbolicznej. Tym razem aktualizacja dokonała się właśnie poza tą przestrzenią: część marszów, spotkań, zgromadzeń, czuwań burzyła dotychczasowy podział na Kościół i forum.

MAREK A. CICHOCKI: W kwietniu to, co polityczne, znowu przejawiało się poza instytucjami, poza prawami, poza mechanizmami, czy nawet poza obrębem tego, co można nazwać zwyczajowo kulturą polityczną w danym kraju. W takim sensie można reakcje polityków i niektórych intelektualistów uznać za niepozabawione realnych podstaw. Trzeba sobie uświadomić, że ta aktualizacja odbywała się w sytuacji, gdy instytucje i mechanizmy polityczne znajdowały się w bardzo głębokiej zapaści. W każdym razie nigdy nie znajdowały się w takim kryzysie, jak w tej chwili, i wobec tak ogromnego deficytu zaufania społecznego. Myślę, że to jeszcze zwiększało wrażenie bezpośredniego zagrożenia.

I myślę jeszcze, że to, co przedstawiałoby się po owych wydarzeniach jako pytanie w odniesieniu do spraw polityki – to czy jest możliwe przełamanie tego zjawiska, które obserwuję od 1989 roku. Czy jest możliwe, aby wspólnota polityczna w Polsce zaczęła się aktualizować bardziej w sferze, w obrębie instytucji

i polityczności w ogóle? Czy istnieje szansa przełamania pewnego rodzaju manicheizmu III Rzeczypospolitej – niezdolności państwa do obserwowania pewnego typu pobudzeń czy rozbudzeń duchowych, które dokonują się w polskim społeczeństwie? Czy to jest w ogóle możliwe? Takie pytanie chciałbym zadać.

JAN OŁDAKOWSKI: Była tutaj mowa o reakcji społecznej i braku reakcji na nią ze strony Kościoła. Moim zdaniem – gdy mówimy o chwili śmierci Papieża, również po śmierci Papieża – zabrakło wspólnego przeżywania tego wydarzenia we wspólnotach lokalnych. Myślę, że najlepszym miejscem takiego przeżywania byłaby parafia. Czym innym jest jednak zebranie, nocne czuwanie w kościele św. Anny, albo to, że młodzi ludzie palili znicze na ulicach Jana Pawła. Wiadomo było, że to się szybko skończy. Ale było też oczywiste, że gdyby tego samego dnia ruszyły spotkania w parafiach – kościół jest otwarty, oświetlony, można przyjść z sąsiadami, posiedzieć i nawet w milczeniu pokontemplować to, co się wydarzyło – być może zaczęłoby się pojawiać coś, co można by kontynuować. Byłaby to redefinicja wspólnot lokalnych.

To banalne, oczywiście, co powiem. Wracalem tego dnia z Wrocławia i ileś kościołów, do których na trasie chcieliśmy się dostać – wszystkie były zamknięte, łącznie z moim parafialnym. Kilkanaście to nie wszystkie, ale... To taki dzień, kiedy się otwiera kościół. Jest 22.00, można przyjść wieczorem, po prostu przyjść... Ta wspólnota by na pewno sobie poradziła – coś by zaśpiewała, może pomodliłaby się, może tylko milczałaby, ale działałoby się coś, co można później kontynuować. Dzisiaj już implantowanie w tę wspólnotę jakiegoś działania, które ma przypominać nauczanie Ojca Świętego, jest spóźnione o tyle, że tamta chwila już nie trwa. W działaniu zabrakło tego jednego – otwarcia kościołów, gdzie w sposób

Polska po kwietniu

Zapis dyskusji

naturalny ludzie by się gromadzili. I oczywiście jest tak, że ksiądz nie musi mówić, co robić; po prostu trzeba coś robić, a z drugiej strony – lepiej, żeby był. Zawsze lepiej uczyć się angielskiego z nauczycielem niż bez niego.

ANDRZEJ GNIAZDOWSKI: Zgadzam się, że w dniach żałoby mieliśmy do czynienia z autentycznym odtworzeniem się, odnowieniem wspólnoty politycznej i religijnej. Fascynujące było dla mnie, że ta wspólnota nie potrzebowała żadnego przywództwa. Wielu mogło przez długi czas, od 1989 do 2005 roku, mieć pewne poczucie zewnętrżności wobec tej wspólnoty z różnych przyczyn. Na przykład, że nie przeżyli pierwszej pielgrzymki Papieża do Polski i potem w wyniku dyskursu publicznego, który się kształtował w kontekście działań propagandowych lat osiemdziesiątych, a później w wyniku działalności „Gazety Wyborczej”, ten dystans w znacznym stopniu jakby się pogłębiał. Natomiast to, co się w dniach żałoby działo, było – powiedzmy – takim chwilowym zniwelowaniem dwudziestu lat zafałszowania poczucia przynależności, poczucia wspólnotowej tożsamości. Sygnałem takiego stanu rzeczy, rodzajem znaku był dla mnie oddźwięk tego wydarzenia w mediach. To akurat obserwowałem przede wszystkim na TVN 24. Sposób komentowania wydarzeń przez Grzegorza Miecugowa, który jako wcześniej prowadzący „Big Brothera”, również tutaj miał wyznaczoną rolę komentatora...

JACEK SALIJ OP: Do transcendowania samego siebie.

ANDRZEJ GNIAZDOWSKI: Czymś wręcz niesamowitym było, jak on to robił. Miałem w pewnym momencie wrażenie, że obserwuję jakąś wewnętrzną przemianę... TVN 24 zainicjowała serię telefonów, rozmów ze słuchaczami. Zdumiewająca była głębia i jakaś wielka mądrość w wypowiedziach tych osób,

które dzwoniły. Ktoś – pamiętam, że mnie to szczególnie uderzyło – powiedział, że w chwili śmierci Papież „rozszerzył się” na miliony i że tak właśnie się dokonało działanie Ducha Świętego. Widać było, jak wobec takiej postawy komentator, który starał się jakoś kierować tymi rozmowami – w pewnym momencie poczuł się kompletnie bezradny i jakby poddał się. Przestał mówić. Zaczął słuchać...

Drugim istotnym dla mnie doświadczeniem było porównanie dwóch mszy, na które poszliśmy z żoną. Najpierw w niedzielę – na tę, która była zorganizowana po wyrażeniu przez Lecha Kaczyńskiego zgody na jej odprawienie na placu Zwycięstwa. To było doświadczenie czegoś niezwykłego – te naciągające z wszystkich stron tłumy, zapchane tramwaje, do których od strony Żoliborza nie można było wsiąść już na wysokości Arkadii, całe to pospolite ruszenie, spontaniczne zebranie się uczestników nabożeństwa, które nie było w żaden sposób wcześniej zaplanowane. Także sposób, w jaki msza była odprawiana, sprawiał wrażenie całkowicie naturalne i spontaniczne. A potem kontrast z mszą wtorkową (osobiście poszedłem tylko po to, by nie robić przykrości prymasowi). Powszechnie obawiano się, że nikt na nią nie przyjdzie. Pamiętam kazanie prymasa i to wrażenie w tłumie, gdy ludzie patrzą w ziemię, starając się nie robić przykrości. I kompletny brak kontaktu.

Wracając do tego, co powiedziałem na początku: rewolucja moralna, moim zdaniem, stała się faktem. Oczyszczenie się dokonało. Potrzebna jest teraz rewolucja intelektualna. Przemiana tego poczucia przynależności, poczucia tożsamości wspólnotowej, jakie działo się na poziomie doświadczenia – w kategorię właśnie intelektualną. Nazwania tego, do czego właściwie w tym momencie człowiek przynależy, bo myślę, że do końca tej świadomości nie mamy.

BRONISŁAW WILDSTEIN: Andrzej już przyjął, że rewolucja moralna się dokonała – ja bym chciał, aby tak było. Na razie widziałem tylko pewien wstrząs, który, mam nadzieję, przyniesie owoce. Ale to dopiero początek. Marek mówił o niesłuchaniu ważnej sprawie: wielkim społecznym ruchu, który w dniach żałoby po śmierci Jana Pawła II zogniskował się poza instytucjami. Jeżeli z tego poruszenia miałyby teraz coś wyniknąć, musiałyby się, po pierwsze, w wymiarze intelektualnym pojawić ośrodki, które to wydarzenie przemyślą, ale nie przemyślą dla siebie, tylko podzielą się swoim rozpoznaniem z całą wspólnotą. Chodzi o stworzenie języka dla opisywania własnych zbiorowych doświadczeń. Niestety, obserwując mass media, mogłem zobaczyć próby zinstrumentalizowania autorytetu zmarłego Papieża w sposób skandaliczny, cyniczny. Od razu się pojawiło całe grono ludzi, którzy „wcielali się” w Papieża i mówili: „Papież by wybaczył to, Papież by wybaczył tamto”. Oczywiście tutaj wybaczenie znaczyło całkiem coś innego niż to, co zwykliśmy rozumieć w klasycznym sensie wybaczenia. Znaczyło nierozpoznanie zła. Jeżeli ktoś zaczyna wskazywać zło, twierdzili samozwańczy depozytariusze autorytetu Papieża, to znaczy, że jest powodowany złymi intencjami. Bo gdyby wybaczył – to by nie zauważył. To jest taki pokrętny sposób rozumienia idei przebaczenia. A instrumentalizacja autorytetu Papieża posłużyła do jej dalszego upowszechnienia.

Spotykam mnóstwo młodych ludzi, którzy się organizują. Młodych, wydawałoby się bardzo sprawnych – skutecznych w sferze ekonomii – którzy tworzą jakieś kluby dyskusyjne, platformy organizacyjne i sporo tego jest. Jest to jednak do pewnego stopnia efekt rozpacz, bo z tych szlachetnych inicjatyw niewiele wynika. Ludzie organizują się, ponieważ są całkowicie zniechęceni do rzeczywistości politycznej i odmawiają uczestnictwa w niej. Instytucje

państwa, polityki w ogóle im nie odpowiadają. Mam wrażenie, że gdy patrzymy na tych młodych ludzi, widzimy, że są dobrze wykształceni – patrzę na nich z dużą sympatią i widzę wiele cech pozytywnych – jednak w sferze obywatelskości są zagubieni. Ich odrzucenie polityki jest bardzo mocne i zdecydowane.

Więc myślę, że sprawa owych instytucji jest dosyć fundamentalną sprawą – bo ich nie ma, natomiast istnieją antyinstytucje, które będą odrzucały, będą uniemożliwiały absorpcję tego przeżycia.

Jeszcze inny problem – przyszło mi to na myśl, gdy słuchałem, co Marek mówił o lęku elit. Wszyscy wiemy, że funkcjonuje u nas specyficzna strategia budowania wspólnoty strachu. W ten sposób walczy się między innymi z rozliczaniem przeszłości. Ale jest to także zjawisko szersze, pewne europejskie doświadczenie, być może choroba europejska: elity wciąż żyją w takiej wspólnocie strachu. Dostrzegają przede wszystkim niebezpieczeństwo, a w związku z tym nie dostrzegają szans. Szansa zawsze się chowa za niebezpieczeństwami. Jakiegokolwiek wyzwolenie energii społecznej jest niebezpieczne, ludzie są w zbiorowości niebezpieczni, bo mogą robić różne nieoczekiwane rzeczy, więc nie należy dawać im zbyt szerokiego pola do samodzielności. Jak mówię, nie dotyczy to wyłącznie Polski. To problem ogólnoeuropejski. Mam wrażenie, że w Ameryce to zjawisko występuje w formach łagodniejszych – tam też jest europejski typ myślenia, campusy, Wschodnie Wybrzeże, ale nie jest to jednak postawa dominująca. W Europie lęk elit jest efektem wojen, doświadczeń nazizmu, doświadczeń komunizmu wreszcie, które są bardzo specyficznie przetwarzane w taki właśnie odruch lęku przed każdym bardziej gorącym zaangażowaniem, a zwłaszcza zaangażowaniem zbiorowym. Remedium na wiek ideologii ma być podobno relatywizm, skrajny sceptycyzm,

Polska po kwietniu

Zapis dyskusji

radykalny indywidualizm. Niebezpieczne ma być, podobno, odwołanie się do jakiegokolwiek wspólnoty poza wspólnotą strachu. To tutaj postkomuniści nieprzypadkowo stają się tak łatwo dekonstruktywistami, czy też postmodernistami.

JAROSŁAW GOWIN: Andrzej Gniazdowski zaczął od stwierdzenia, że te wydarzenia, tych parę tygodni dowiodło, że Polacy nie potrzebują przywództwa. Ja bym to doprecyzował. Nie tyle nie potrzebują, co potrafią sobie poradzić mimo braku przywództwa. Miałem wrażenie, że ów brak przywództwa był bardzo dotkliwie odczuwalny. W Krakowie było to widać bardzo wyraźnie, ludzie czuli się tacy nieprzygarnięci, nieogarnięci. Pamiętam powszechne poczucie zazdrości, gdy okazało się, że w Warszawie spontanicznie odbywa się msza – no, w miarę spontanicznie. W każdym razie nie odgórnie.

DARIUSZ KARŁOWICZ: Powiedzmy od razu: to Jan Pospieszalski i Piotr Semka przekonali biskupa Liberę do odprawienia tej mszy świętej.

JAROSŁAW GOWIN: Natomiast msza na Błoniach – niezwykle przeżycie – była spontaniczną reakcją na mszę warszawską. Najbardziej charakterystyczne, że zrobili to młodzi ludzie – licealiści i studenci. Skrzyknęli się przez Internet, SMS-ami, zaczęło się nocne czuwanie... Uważam, że w naszym społeczeństwie istnieje potrzeba przywództwa. Głęboka potrzeba przywództwa. I wielce pesymistyczną stroną zjawiska jest fakt, że na tę potrzebę nie było odpowiedzi. Ale czymś z kolei bardzo optymistycznym jest, że Polacy poradzili sobie – mimo braku tego przywództwa.

Teraz – co dalej? Wydaje mi się, że w wymiarze kościelnym problem jest mniejszy – ujawnił się Kościół jako Lud Boży. I to nie tylko świeccy. Gdy zabrakło głosu biskupów, przynajmniej większości biskupów (w Krakowie

kardynał inaczej się zachowywał, chociaż też nie od początku), i gdy wiele kościołów w całej Polsce było zamkniętych – jednak wiele otwarto i wielu księży w naturalny sposób podjęło funkcję przywódczą. Teraz najważniejsze jest, że wyłoniły się pewne spontaniczne struktury, które – moim zdaniem – wtopią się w Kościół instytucjonalny i ożywią ten Kościół. Przynajmniej jest na to duża szansa.

Gorzej, jeśli chodzi o przestrzeń publiczną. Pod tym względem moje obserwacje są takie same jak Bronka, mówię to jako ojciec dorastających dzieci i jako rektor. Widzę, że jest mnóstwo inicjatyw, że młodzi ludzie chcą się organizować – i że równocześnie ich inicjatywy są szalenie rozproszone. W tym sensie są zagubieni, ale mam wrażenie, że oni czekają, by się pojawił sztandar, prawda. Sztandar, który ich jakoś zjednoczy. I to jest w gruncie rzeczy pytanie do nas – siedzących przy tym stole, czy do nas szerzej rozumianych, jako pewna wspólnota duchowo-intelektualno-polityczna: czy mamy tym ludziom coś do zaproponowania, czy mamy jakiś sztandar? Na to pytanie nie potrafiamy odpowiedzieć.

DARIUSZ GAWIN: Myślę, że Marek nieprzypadkowo ujmował pojęcie wspólnoty politycznej w wymiarze religijno-sakralnym. Właśnie we wspólnocie politycznej, a nie w społeczeństwie, gdzie podział na politykę, religię, na sfery funkcjonalne jest oczywisty – zachodzi związek między tym, co publiczne i sacrum. Świat partyjny i instytucjonalny polityki pozostaje w podobnym stosunku do tej wspólnoty jak instytucja Kościoła. Wspólnota polityczna mieni się różnymi kolorami, pod jednym kątem wygląda bardziej politycznie, pod innym bardziej religijnie, a w rzeczywistości wszystko stanowi cały czas tę samą całość.

W Warszawie wydarzenia dotyczące żałoby związane były z placem Piłsudskiego i z czerwcem

1979 roku. Polacy zgromadzili się w miejscu, w którym kiedyś przez niebo i ziemię przeszedł Duch Święty – jeszcze raz spotkali się w tym miejscu. To tu Jan Paweł II przywołał Ducha Świętego, który włada dziejami – właśnie dziejami, a nie historią. Dzieje są sceną ludzkiego dramatu, historia to w założeniu beznamiętna rejestracja faktów. Taka sytuacja bardzo przemawia do Polaków. Moim zdaniem, Polacy są głęboko przekonani, że historia świata to jest dramat dziejów, w którym nie może ich zabraknąć. Jeżeli się dzieje coś takiego jak II wojna światowa, walka o wolność, z komunizmem, albo nawet wojna w Iraku, są to właśnie wydarzenia z dziejów świata, nie historii, w których nie może nas zabraknąć.

Zebranie się na placu w dniach kwietniowej żałoby miało też znaczenie podobne do tego z czasów przed pierwszą Solidarnością. Wtedy ludzie policzyli się. Teraz, po piętnastu latach III Rzeczypospolitej, mogli policzyć się znowu. Poczucie zaskoczenia brało się stąd, że objawiła się ponownie rzeczywistość zakryta. Tak jak przy pierwszej pielgrzymce. Wydawało się wtedy, że – jak pisał Konwicki w *Małej apokalipsie* – wszystko już przegniło, wystarczy tylko pociągnąć i zaraz się zawali. Jednocześnie przyjeżdża Papież i okazuje się, że pod tym, co wszystko zakrywa, znajduje się coś strasznie dziwnego, co wybija jak gejzer. Coś było zakryte i nagle się ujawniło. Warto zapytać, co się właściwie ujawniło, w jakich warunkach? Co było zakryte – i ujawniło się? I kto się policzył? Moim zdaniem, ujawnili się ludzie, którzy kiedyś byli zakrzyczani przez cenzurę PRL-u, a teraz przez dziwną medialną nierzeczywistość III Rzeczypospolitej. Media (i nie tylko media) dzisiaj znów uważają, że jeżeli czegoś nie widać, to tego w ogóle nie ma. Okazało się, że jest zupełnie odwrotnie, że przykryto jakąś sferę, która doszła nagle do głosu, zaistniała.

Dla mnie było uderzające i zaskakujące, że w sensie politycznym ta wspólnota, która się objawiła, miała ewidentnie charakter konserwatywno-liberalny. Konserwatywny w sensie silnych wartości, a liberalny – bo była bardzo nowoczesna. Można powiedzieć, że to było ponowoczesne w formie, te SMS-y, wszystko to, co odpowiadało lewicowym wręcz definicjom ruchów sieciowych, a jednocześnie wszystko bardzo tradycyjne w treści. Polska rzeczywistość objawiła się ponownie jako z ducha republikańska. To dlatego ten polityk, o którym mówili Darek i Marek, i który jest związany z tradycją galicyjsko-krakowską, nie chciał właśnie tego zaakceptować.

JAROSŁAW GOWIN: Bo akurat on jest spadkobiercą józefinizmu polskiego.

DARIUSZ GAWIN: Ale jedno z drugim się wiąże: absolutyzm, dobre państwo, biurokracja, wszystko razem. Tylko że tutaj zawsze było inaczej, tu funkcjonowała całkiem inna tradycja, republikańska. Jak to szlachta mówiła: „Nie potrzebujemy murowanych fortec, bo twierdzą są nasze piersi”. Przez dwieście pięćdziesiąt lat to działało. Stałym elementem polskiego życia duchowego w republikanizmie jest fakt, że kolejne pokolenie dochodzi do wniosku: to skandal, że Polska znajduje się poniżej swych możliwości. Otóż mam wrażenie, że Polacy, gromadząc się w kwietniu, pokazali, że polska rzeczywistość istotnie znajduje się poniżej możliwości tego, co się podczas tych zgromadzeń objawiło. Że jest skandaliczna. I teraz mamy taki oto stan rzeczy: z tego nie będzie – moim zdaniem – żadnego społeczeństwa obywatelskiego, organizacji młodych partii i tak dalej. Jest to bardziej zadanie właśnie dla elit, które byłyby w stanie zjawisko opisać i zaproponować odpowiedni projekt.

DARIUSZ KARŁOWICZ: To spotkanie na placu może być – nie wiem, czy będzie, ale może

Polska po kwietniu

Zapis dyskusji

być – tak kluczowe dla Kościoła w Polsce, jak rok 1989 był kluczowy dla wspólnoty politycznej. Może być analogią do tamtej sytuacji. Mam wrażenie, że Kościół w Polsce – mówię o wspólnocie wierzących – ma samopoznanie opisywane językiem jego krytyków, że samoocenie brakuje optymizmu, co ja mówię – realizmu.

Rozmawiałem ze znanym z mediów księdzem, który pytał mnie, robiąc wrażenie naprawdę szczerze zaskoczonego: skąd ci ludzie się na tych placach i ulicach wzięli, jak to jest możliwe? A ja miałem wrażenie, że dobrze znałem większość tych ludzi z różnych chrześcijańskich stowarzyszeń, instytucji charytatywnych, hospicjów, że była tam część z tych kilkuset tysięcy, które przeszły przez różne duszpasterstwa, ruch oazowy, ruch charyzmatyczny czy pielgrzymkowy. Może w mediach, gdzie ten ksiądz bywa częściej niż w parafii, tych ludzi nie widać, ale oni jednak istnieją. Pewna robota formacyjna, wcale nie taka mała, została w Kościele zrobiona. Bo powiedzmy sobie wyraźnie: Kościół to jedyna instytucja w Polsce, która na tę skalę prowadzi systematyczną pracę duchową, która pracuje nad moralnością publiczną, bierze za nią odpowiedzialność. Bo w tych różnych formacjach oczywiście na pierwszym planie jest zbawienie, ale zbawienie, do którego się idzie przez obowiązki zawodowe, rodzinę, odpowiedzialność za innych. Inna sprawa, że jest rzeczą osobliwą, iż tak mało z tych ludzi, którzy przechodzą taką solidniejszą formację, trafia potem do polityki. Ale można przyjąć, że byli na placu. I to rzeczywiście wyglądało na powtórkę z '79 roku. Ci trochę na co dzień zawstydzeni swoim chrześcijaństwem gimnazjaliści i studenci mieli takie miny, jakie mieli Polacy w 1979 roku, kiedy się okazało, że sprawy dla nich ważne są ważne dla wszystkich. Widziałem, jak ludzie rozglądają się wokół i myślą sobie: To aż tylu z nas się żegna? To aż tylu z nas się modli? To aż tylu z nas...

DARIUSZ GAWIN: To aż tylu nas jest!

DARIUSZ KARŁOWICZ: Tym razem to „aż tylu” dotyczyło raczej rzeczywistości duchowej niż politycznej. Ale z drugiej strony pamiętać trzeba, że nasza technokratyczna polityka coraz bardziej spycha polityczność właśnie do Kościoła. Więc może ten podział na polityczne i duchowe jest – nie tylko ze względu na naszą tradycję – coraz bardziej sztuczny.

DARIUSZ GAWIN: Nie było też aż tak duchowe, bo w ciągu kilku miesięcy miało miejsce inne wydarzenie polityczne, które dokładnie spełnia wszystkie kryteria tej samoorganizacji, jaka objawiła się w obliczu śmierci Papieża. Chodzi o Ukrainę. I szczególnie dotyczy młodych ludzi, bo to działo się w odstępie kilku miesięcy. Sposób organizowania nacisku na polskie państwo przez społeczeństwo, na – powiedzmy – instytucje państwa, żeby się zajęły Ukrainą, był argumentem, że to w gruncie rzeczy jest głos Polski, a nie polskich dyplomatów. Ten sam rodzaj samoorganizacji, te koncerty w Warszawie, ta młodzież. Ku swojemu zaskoczeniu ta młodzież odkryła to, co nazywam dramatem dziejów. Na ich oczach coś się rozgrywało. Nie mogło ich zabraknąć tam, nie mogło ich zabraknąć tu. Ci sami ludzie (to się zdarzyło w zasadzie w ciągu jednego semestru roku akademickiego) – i dwa wielkie wydarzenia.

ZBIGNIEW STAWROWSKI: Cały czas się zastanawiam, co tak naprawdę wydarzyło się w tych dniach żałoby. Zastanawiam się również nad konsekwencjami, jakie wynikają z tego wydarzenia dla Kościoła i dla polityki państwa. Co się w takim razie wydarzyło? Właściwie należąc do starszego pokolenia, powinniśmy lepiej to wiedzieć niż ludzie z pokolenia młodego, dla których był to pierwszy taki powiew Ducha. Mamy przecież podobne doświadczenia od 1979 roku, gdy ten Duch się tutaj po raz pierwszy z taką siłą objawiał. Nie chodzi mi

tylko o pierwszą pielgrzymkę, ale również o następne. Pamiętam np. w 1983 roku – to jest drobiazg, ale bardzo charakterystyczny – Papież był najpierw w Warszawie. Byłem wtedy na mszy na Stadionie Dziesięciolecia. Msza odbywała się pod straszliwą presją wszechobecnego ZOMO, mimo to jednak ludzie przemienili się, poczuli wyzwalającą siłę Ducha. Potem – pamiętam – jechałem pociągiem z Warszawy do Krakowa i to był już pociąg wolności. Przyjechaliśmy do Krakowa – ale tam panowała zupełnie inna atmosfera: Kraków był w tyle, ludzie pełni lęku, nieufnie spoglądający na siebie. Papież przyjechał do Krakowa dopiero następnego dnia i powtórzyła się sytuacja z Warszawy. Wtedy nie tylko namacalnie poczułem, ale i uświadomiłem sobie, że rzeczywiście dzieje się coś niezwykłego. W czasie kolejnej pielgrzymki jeździłem za Ojcem Świętym z miasta do miasta i mogłem obserwować, jak podczas spotkań z Nim nagle otwierała się w ludziach przestrzeń wolności, którą oni nieśli dalej. Zjawisko to powtarzało się przy każdej papieskiej wizycie! Zapewne na podstawie takiego powtarzającego się po wielokroć zbiorowego doświadczenia socjologowie mogliby się już odważyć zbudować jakąś socjologiczną teorię zbiorowych porywów ducha.

A co się wydarzyło ostatnio? Znów podróżowałem między Warszawą a Krakowem. Z ogromną radością widziałem nowe pokolenie, które – ni stąd, ni zowąd – nagle dostało potężny zastrzyk Bożej energii. Widziałem te tłumy – nieprzebrane tłumy, widziałem także grupy kibiców w Krakowie, którzy w dniu pogrzebu Papieża szli ulicą i skandowali: „Nie ma lepszego nad Jana Pawła II”. Skandowali tak, jak skandują zwykle na meczach wyzwiska przeciwko innym drużynom. Pomyślałem sobie, że tych ludzi też coś dotknęło i wyrażają ten swój poryw ducha w jedynej znanej im formie wyrażania zbiorowych emocji. Nieważne, czy

się potem pobili – u niektórych ten poryw ducha, wcześniej lub później, na pewno przyniesie jakieś dobre owoce.

Jest faktem, że kolejne pokolenie dotknęło czegoś niesamowitego, czegoś niezwykłego, ale powstaje pytanie, co dalej będzie z tego wynikać? I tu dochodzimy do problemu formy oraz instytucji, w których to doświadczenie może się wyrażać. Pierwszym miejscem, gdzie tego typu poryw ducha może i powinien znaleźć odpowiednią dla siebie formę, jest oczywiście Kościół. Bo to Kościół ma wypracowane przez stulecia formy wyrażania, organizowania i instytucjonalizowania takich porywów. Widzieliśmy jednak, że Kościół różnie radził sobie z tą sytuacją. Odwołam się do doświadczenia, o którym mówił Andrzej Gniazdowski – mszy na placu Piłsudskiego. Uderzała jej „bizantyjska” organizacja: orkiestra wojskowa, kompania honorowa, pierwsze krzesła zajęte przez szereg znudzonych notabli. Po prostu czuło się, że Duch nie tyle opuścił to zgromadzenie, ale gdzieś błąkał się na jego obrzeżach. Nie mógł wejść do środka, bo był odpychany przez konstancyjską formę.

DARIUSZ KARŁOWICZ: Duch Święty nie miał legitymacji VIP-owskiej.

ZBIGNIEW STAWROWSKI: No właśnie. Ci VIP-owie przy samym ołtarzu, potem pusta przestrzeń i dopiero tłum, który się gniótł za nimi. Coś rzeczywiście niesamowitego. Widziałem młodych ludzi, którzy stamtąd uciekali i szli np. do Świętej Anny. Ale jednocześnie w tym czasie obok doświadczeń negatywnych miały miejsce zjawiska bardzo pozytywne. Np. w Krakowie, a także w niektórych małych miastach, gdzie księża sami z siebie potrafili wyjść naprzeciw pragnieniom wiernym.

Warto też zastanowić się, co się objawiło w tym porywie ducha? Na pewno objawiło się

Polska po kwietniu

Zapis dyskusji

głębokie poczucie wspólnoty, która – jak jestem przekonany – nie jest wspólnotą polityczną; jest wspólnotą w znacznie głębszym sensie. Każdy z nas jedno mógł bez trudu zaobserwować: polityka nagle znikła – nie to, że znikła w ogóle, ale znikła jako coś istotnego. Te wszystkie podziały, oczywiście, pozostały – ale znalazły się gdzieś w tle, wzięte w nawias. Okazało się coś niesłychanie ważnego: czasem zwykłe podziały polityczne nie mają żadnego znaczenia. To, że kibice się pojednali, dla mnie też jest symbolem – symbolem zniknięcia polityki. Bo walki kibiców są radykalnie sprymitywizowaną formą działania tych samych mechanizmów, które leżą u podstaw życia politycznego.

JAROSŁAW GOWIN: Ale czy to jest zjawisko, sygnał optymistyczny, że polityka zniknęła? Czy fakt, że my to traktujemy jako coś optymistycznego, nie świadczy, jak odpychająca jest dla nas ta polityka? Czy nie jest tak, że równocześnie potrzebujemy zupełnie innej polityki, a te wydarzenia dowodzą, jak bardzo tej innej polityki nam brakuje.

ZBIGNIEW STAWROWSKI: Myślę, że właśnie o to chodzi.

JAROSŁAW GOWIN: Nikt z polityków nie okazał się jakimkolwiek autorytetem. Nikt.

ZBIGNIEW STAWROWSKI: Mówiłem o formie, jakiej Kościół szukał dla tych porywów ducha. Ale rzeczywiście rodzi się następne pytanie: czy również wymiar wspólnoty politycznej mógłby znaleźć właściwą instytucjonalną formę dla takich porywów? W 1980 roku znalazła się taka forma. Tej formy – można powiedzieć – nikt nie wymyślił. Mówi się, że różni ludzie ją wymyślili, ale tak naprawdę była jakby wzięta z księżycy – związek zawodowy, który okazał się czymś znacznie, znacznie więcej. Pytanie, czy my dzisiaj jednak nie jesteśmy

w innej sytuacji? Czy nasza świadomość nie jest głębsza niż dwadzieścia parę lat temu? Czy to nie my – jako pokolenie, które niesie w sobie pamięć czasów Solidarności – powinniśmy przygotować i zaproponować młodszemu pokoleniu odpowiednią formę czy też wzorzec życia politycznego?

MAREK A. CICHOCKI: Ja bym jednak chciał bronić wspólnoty politycznej jako formuły dla takich porywów ducha, o których mówił Zbigniew Stawrowski. Od tego zależy bowiem, czy to doświadczenie pozostanie tylko doświadczeniem indywidualnym, bądź doświadczeniem różnych lokalnych grup lub lokalnych społeczności, czy też całej wspólnoty?

Moim zdaniem, byłaby wielka szkoda, gdyby po raz kolejny takie doświadczenie nie odegrało żadnej konstytuującej roli dla naszych instytucji, polityki, praw, kultury. Pamiętajmy, że takie doświadczenia wyraźnie odróżniają nas od ogólnoeuropejskiego kontekstu. że to doświadczenie bardzo wyraźnie wyróżnia się na tle tego, co mamy dzisiaj w Europie. Przypominam sobie rozmowę z pewną studentką z Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego w Fiesole. Ten instytut to taka złota klatka, w której kształcą się przyszłą elitę Europy. Dziewczyna opowiadała mi o swoim doświadczeniu wyniesionym z tego pierwszego tygodnia kwietnia. Przyznała, że nigdy nie była specjalnie praktykującą katoliczką i że miała do tej pory dość krytyczny stosunek do nauczania papieskiego, zwłaszcza dotyczącego sfery obyczajowej. Kiedy jednak wróciła z Polski do Fiesole i ponownie zetknęła się ze swymi rówieśnikami pochodzącymi z różnych europejskich krajów, dotarło do niej, jak bardzo się od nich różni. Że zupełnie inaczej reaguje na pewne zdarzenia, inaczej traktuje religię, inaczej traktuje problem śmierci, inaczej traktuje problem transcendencji. Czym innym jest dla niej chrześcijaństwo niż dla tych ludzi,

z którymi się uczy w Fiesole i z którymi styka się bardzo często w innych krajach Europy.

Myślę więc, że to doświadczenie wykracza znacznie poza przeżycia intelektualne. Ono ma charakter konstytuujący dla całej naszej wspólnoty – czy tego chcemy, czy nie. W każdym razie nie mam wątpliwości, że właśnie tak zostanie ono zinterpretowane przez świat zewnętrzny, przez interpretatorów z innych europejskich krajów. I pewnie z jakąś nutą uszczypliwej ironii pod naszym adresem.

JAROSŁAW GOWIN: Jeżeli można taką formułkę zaproponować – to właśnie, co powiedział Marek. Na pewno ujawniła się religia publiczna. Pytanie, czy ta religia publiczna stanie się religią obywatelską.

DARIUSZ KARŁOWICZ: Dość często miałem wrażenie, że próbuje się opisać tę żałobę w kategoriach karnawału, a nie święta. Sprzyjał temu brak wyraźnych struktur, czy to politycznych, czy hierarchicznych. Taka interpretacja jest z gruntu fałszywa. To nie jest doświadczenie zrzucenia ograniczeń, ale przyjęcia ograniczeń. Chodzi o odkrycie, a nie o odrzucenie norm. Rdzeniem jest tu doświadczenie świętości. Myślę, że przygoda tej młodej Polki z Fiesole jest w doskonałym przykładem doświadczenia chrześcijańskiego świadectwa – spotkanie świadka jest spotkaniem miary, która mówi nam, kim jesteśmy, i że powinniśmy żyć inaczej. Dlatego mam wrażenie, że zupełnie fałszywa jest powracająca często diagnoza, która w fakcie, że kibice już się biją, widzi dowód bezwartościowości tego niezwykłego święta. To tylko dowód, że święto się skończyło, że mamy już poniedziałek. Bo jeśli to naprawdę było święto, prawdziwe doświadczenie świętości? to zarówno my, jak i ci kibice zyskaliśmy miarę, która pozwoli nam zrozumieć, że musimy się starać, że na co dzień jesteśmy poniżej swojego poziomu, poniżej tego,

czegośmy doświadczyli. A to nie ma związku z tym, czy potrafimy temu sprostać. Idzie o szansę, jaką daje samo napięcie między tym, kim jesteśmy, a tym, kim chcielibyśmy być, kim może w te dni przez chwilę byliśmy.

Chciałbym jeszcze wrócić do wątku, o którym mówił Bronek. Mam wrażenie, że bardzo szybko pojawiło się coś w rodzaju rywalizacji o interpretację tego wydarzenia. Ja już nie mówię o tych gejzerach hipokryzji – SLD-owska minister Magdalena Środa zapewniająca, że dla niej katolicyzm polski jest we wszystkim dobry, że Ojciec Święty itd., itp. Nasi rewolucjoniści nie grzeszą zbyt dużą odwagą, więc mieli świątobliwe minki i zakładali moherowe berety. Chodzi raczej o to, jak – co zresztą ujawniło się natychmiast – różne, z pewnością nie papieskie tezy będą „podpierane” autorytetem Papieża. Należy się spodziewać dużej liczby różnych apokryfów i zdumiewających interpretacji „prawdziwej istoty” papieskiej lekcji. Za przykład może posłużyć Krzysztof Michalski, który już w pożegnalnym numerze „Tygodnika Powszechnego” opisywał „prawdziwą istotę” papieskiego dzieła. Tam była taka formuła – jeżeli dokładnie pamiętam – że jakie poglądy filozoficzne Papież ma, to wiadomo (w tym sensie, że nawet przykro o tym mówić), natomiast istotą jego dzieła, czynu i myśli jest wrażliwość na cudze cierpienie. Dla kogoś, kto nie zna współczesnego dyskursu, formułka jest niewinna, ba! arcychrześcijańska, ale jeśli ją przyjąć, zaraz okaże się, że w imię „istoty papieskiego nauczania” łatwo da się zakwestionować i odrzucić jej „historyczną” i oczywiście „anachroniczną” postać.

BRONISŁAW WILDSTEIN: Dużo dalej w „Tygodniku Powszechnym” poszedł Jedlicki. Stworzył tekst kuriozalny: *Cywilizacja podłości*, który przecież jest aluzją wprost do papieskiej cywilizacji miłości. Za cywilizację podłości – którą demonstrować miał właśnie

Polska po kwietniu

Zapis dyskusji

Kaczyński – uznał próbę rozliczenia i ukarania zła. Złem i to w najwyższym stopniu bo podłością, jest próba piętnowania zła. Nie czynienie go, ale walka z nim. Ta perwersyjna logika, jak widzimy, również odnosi się do nauczania Jana Pawła II.

DARIUSZ KARŁOWICZ: Trudno wątpić, że najbliższy czas będzie okresem bardzo poważnej i zasadniczej dyskusji dotyczącej interpretacji tych wydarzeń. Bo świadomość temperatury istnieje po każdej ze stron. Teraz pytanie: co ona ogrzeje?

KS. TOMASZ WĘCŁAWSKI: Trochę się odebrnę od samego wydarzenia. Jakkolwiek bardzo mnie pociąga i interesuje wątek polityczny – myślę, że jest tu jeszcze kilka spraw do przemyślenia, kilka rzeczy do zrobienia. Konkretnie wspomnę trzy rzeczy.

Jedno wspomnienie jest dosyć dawne, sprzed półtora roku, może trochę demagogiczne. Przeżycie, które mnie nie opuszcza... Prowadziłem rekolekcje dla niewielkiej grupy dziennikarzy. Mówiłem o Kościele jako o dynamicznym gromadzeniu się ludzi, słuchali mnie bardzo uważnie. Na końcu była rozmowa i wtedy ktoś powiedział: „ale takiego Kościoła, o którym ksiądz mówi, nie ma”. A ja wiem, że jest tylko taki Kościół. Dla mnie – jak teraz widzę – była to pewna antycypacja; zostało powiedziane to, co ci ludzie później przeżyli mniej lub bardziej spontanicznie, pokazując sami z siebie właściwą postać Kościoła. Widocznie roz mijamy się – w zwykłym biegu rzeczy – z istotą rzeczy, wydawałoby się dawno i rzetelnie ustaloną.

I drugi element: niewątpliwie w związku z wydarzeniami z początku kwietnia mamy do czynienia z coraz większą liczbą ludzi, którzy przychodzą i chcą rozmawiać o rzeczach trudnych. Oni się nie mieszczą, nie dają sobie rady

np. z życiem sakramentalnym w takiej postaci, jakiej się od nich oczekuje. Miałem serię rozmów z podobnymi ludźmi i powziąłem silne przekonanie, że większość z nich była „przysłana” przez Papieża. Są wśród nich ludzie będący bardzo daleko, całkowicie poza jakąkolwiek formą instytucjonalną Kościoła, którzy w związku z tymi przeżyciami odważyli się powiedzieć głośno, czego w Kościele chcą, a czego nie chcą. I są tacy, którzy na pozór tkwią w samym środku Kościoła i też wreszcie odważyli się powiedzieć coś, o czym wcześniej bali się mówić.

Jeśli ośmielimy się pozostać przy takich formach komunikacji tam, gdzie one są możliwe, a są bardzo szeroko możliwe – to będą oddziaływały. W pewnym momencie wstaniemy i zobaczymy, ilu nas jest. Ale to wymaga pewnego „przetrawienia” własnych doświadczeń, pewnej pracy i pewnego czasu, w którym zostaną powiedziane rzeczy, jakie mogą zostać powiedziane. Nie tylko przeżycia bezpośrednie, emocje różnego rodzaju – ale rzeczy, które w końcu powinny zostać powiedziane. Co nam się nie podobą i dlaczego, co musi być inaczej, co trzeba inaczej powiedzieć. A także takie rzeczy, z którymi się nie można pogodzić z punktu widzenia pełnego obrazu wiary Kościoła, a przecież i takie rzeczy są w społecznym życiu religijnym w Polsce. Wielu ludzi po prostu je ukrywa, bo wiedzą, że wyrażanie wątpliwości tego rodzaju nie jest u nas dobrze widziane. Załatwiają sprawy tylko na tym poziomie, na którym muszą, to znaczy pewne minimum zobowiązań wobec parafii czy księdza – i koniec.

JAROSŁAW GOWIN: Co zrobić, żeby nie zostało to odebrane jako wymierzone przeciw Kościołowi hierarchicznemu?

DARIUSZ KARŁOWICZ: Pamiętam w Poznaniu – podczas Tischnerowskich Dni – rozmowę z młodym księdzem, który z niezwykłą

szczerością mówił o swoim bardzo trudnym doświadczeniu. On się ogromnie cieszył, widząc, jak ludzie sami się zorganizowali, że modlą się wspólnie, a on im towarzyszy, ale dyskretnie, a więc jest z nimi, wspomaga, spowiada, a nie dowodzi. A potem, kiedy to się skończyło, ludzie do niego przyszedli z ogromnym, piekącym żalem, że „to nie wyście wszystko zorganizowali”. I potem mówił – co było jeszcze bardziej przygnębiające – że zaczyna się ich bać, bo ma wrażenie, że oni go nie znoszą. Tak rozumiem pytanie Jarka. Bo istnieje pewna obawa, że ta samodzielność wiernych może się rodzić w klimacie obustronnej wrogości.

KS. TOMASZ WĘCŁAWSKI: Jeżeli taka rozmowa była z owym księdzem możliwa – że nie potrzeba się teraz przeciwko niemu „objawiać”, – to już jest bardzo wiele. On już jest w tej innej, nowej sytuacji, która stanie się niedługo powszechniejsza albo wprost powszechna. Będzie mu bardzo trudno, bo będzie siedział równocześnie w całej siatce różnych prawno-organizacyjno-kościelnych układów, z których tak łatwo się nie wyrwie, a prawdopodobnie zostanie w nie jeszcze bardziej wciągnięty niż obecnie. Ale równocześnie to wcale nie znaczy, że jest przegrany w stosunku do ludzi, albo że ci ludzie są przegrani w stosunku do instytucji. Tylko trzeba znaleźć poziom możliwego porozumienia – tej postaci wspólnego działania, która już nie będzie rodzila tego rodzaju pretensji. To trudne, ale właśnie się zaczyna dziać.

JACEK SALIJ OP: Jednego nie rozumiem: dlaczego ów ksiądz wobec takich pretensji nie powiedział: „Strasznie się cieszę, że to wy, a nie ja”. Nie rozumiem problemu.

DARIUSZ KARŁOWICZ: Bo siła żalu w stosunku do niego była tak duża, że nie potrafił się na to zdobyć.

PAWEŁ KOWAL: Czy ci ludzie zgromadzeni na placu mnie zaskoczyli? Nie! Bo pomyślałem sobie, że w gruncie rzeczy tam było ich miejsce. A biskupi? No cóż, oni żyją z nami razem – tutaj będę brał ich w obronę. Wiedzą, jak się organizuje pielgrzymkę, wiedzą, jak się organizuje nocne czuwanie... Ale gdy ludzie przychodzą i mówią: „Chcemy się modlić tu i teraz” – to dla nich sytuacja nowa i dlatego się trochę wycofali. Ale w końcu jednak przyszedli...

Problem mam z narodową mszą świętą na Placu Piłsudskiego. Wydaje mi się, że odbywała się trochę „za daleko” od ludzi. Za dużo było miejsca na celebrowanie i pompę. Ale generalnie wydaje mi się, że warszawiacy, Polacy byli na swoim miejscu – oni mnie w ogóle nie zaskoczyli. Nie zaskoczyli mnie tamci młodzi ludzie na placu – to jest jednak efekt dobrej roboty Kościoła przez lata. Każdy przyszedł z innych powodów – jeden był we Wspólnocie Odnowy w Duchu Świętym, inny w Oazie. Jeden miał za wychowawcę bardzo mądrego księdza, inny mniej mądrego. Jeden znał dominikanów, drugi grał w piłkę z salezjanami, ale po latach dobrze duszpasterstwa w tym szczególnym momencie wszystko się jakoś złożyło w całość i przyszedli. Byli z nimi i biskupi, i wszystko się – mimo że z trudem – zaokrągliło.

No oczywiście, widać pewien rodzaj zdumienia obserwatorów. Może „tradycjoniści” zdumieli się, że było tam niewystarczająco dużo starszych osób. A „progresyści”, że było nie dość intelektualistów... Każdy był trochę zdziwiony tym zgromadzeniem, ale ja – mówiąc w przenośni – wiem dokładnie, kto tam był. Byli ci ludzie, których się tam spodziewałem. Znam ich z różnych sytuacji publicznych, stąd wiem, że w takiej sytuacji się jakoś odnajdą. Oczywiście, to jest przykre, że któryś ksiądz zamknął drzwi kościelne, że był zmęczony. Jak się zna zwykłych księży, nie tylko księży intelektualistów – inaczej człowiek

Polska po kwietniu

Zapis dyskusji

na wszystko patrzy. I może nie chciałbym tego aż tak bardzo usprawiedliwiać, jak ks. arcybiskup Michalik w wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego”, ale myślę, że potrzeba więcej wyrozumiałości – może zadziwienia, a nie zdziwienia.

I jeszcze ostatnia uwaga na temat polityków. Politycy to chyba nie jest taki gatunek, który można sprawiedliwie ocenić jako całość. To tak, jakby tutaj ktoś nas razem chciał sprawiedliwie ocenić... Nie ma czegoś takiego jak politycy, którzy mają wspólne cechy. Oni się po prostu zachowują różnie w różnych sytuacjach. Politycy, z którymi przebywałem w tych dniach, po prostu czuli, że bez względu na to, ile by dobrych intencji w organizację tego, co się działo, włożyli – gdy padnie ich nazwisko, mogą być dotknięci, obrażeni, że coś zrobili nie tak, że coś źle powiedzieli, albo właśnie nie powiedzieli.. Może dlatego, że taka panuje maniera: politycy są grupą, którą się zwalcza, której się przypisuje wszystko, co złe. Była też w tym wszystkim jakaś delikatność polityków, by nie korzystać z okazji do autoprezentacji. Myślę, że części polityków właśnie dlatego nie było wówczas widać. W każdym razie tak to odbieram. Bronię biskupów i polityków, ale w tych dniach wszyscy próbowali jakoś znaleźć swoje miejsce.

ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Chciałbym zwrócić uwagę na pewną odmienną Polskę. W przeciwieństwie do wszystkich tutaj obecnych obserwowałem wydarzenia pierwszych tygodni kwietnia z zewnątrz, w sytuacji pewnego geograficznego samowykluczenia, głównie za pośrednictwem telewizji, w tym telewizji niemieckiej i innych stacji zachodnich. Uderzyła mnie bezradność, nieumiejętność w medialnym przekazie. Na czterech kanałach telewizji niemieckiej można było zobaczyć sprawozdanie z mszy w Watykanie, następnie reportaże i komentatorów w roli tłumaczy zaskakujących wydarzeń. Najlepszym ze sprawozdawców był

młody teolog, który kiedyś miał zostać księdzem. Jego sprawozdanie było jak sprawozdanie etnografa, który opisuje widzom dziwne, niezrozumiałe obrzędy, których sensu widzowie nie są w stanie sami zrozumieć. Sceną, która szczególnie poruszyła ludzi, była ta, gdy prezydent USA klęknął w bazylice przy katafalku: siła, władza klęka przed zmarłym Papieżem. Oglądając te transmisje, uświadomiłem sobie, jak bardzo odmienna jest Polska. I to nie Polska jako poszczególni Polacy, tylko właśnie kraj, jako zupełnie szczególna zbiorowość. Polska jest inna. Nie jest społeczeństwem po prostu, w sensie socjologicznym; ma jeszcze dodatkowy wymiar. Nie jest nawet tylko wspólnotą – ma jakieś odniesienie ku górze, pionowe. Gdzie indziej także istnieją podobne wysepki – np. widzieliśmy podobne obrazy z Watykanu. Ale Polska to cały taki kontynent, polska religijność jest zjawiskiem szczególnym. Mam wrażenie, że dowiedzieliśmy się o niej czegoś bardzo ważnego. Ostatnio w Polsce był Charles Taylor, który mówił o nieuchronnych przemianach chrześcijaństwa, oddzielających je od tożsamości narodowych; okazało się jednak, że ta jego teza o religii postdurkheimowskiej została przez Polaków sfalsyfikowana.

Tak więc dowiedzieliśmy się czegoś o Polsce, a raczej coś sobie o niej przypomnieliśmy. Pamiętam tekst, w którym Teresa Bogucka napisała, że po 1989 roku Polacy woleli nie mówić o sobie jako o narodzie, woleli pojmować się jako społeczeństwo, jeśli nie wręcz tylko jako populacja, mieszkańcy Polski. Teraz się okazało, że są nie tylko narodem, ale stanowią także jakąś całość emocjonalną, z owym pionowym, transcendentnym odniesieniem. I to, myślę, było dla wielu takie zdumiewające.

Ale muszę także powiedzieć, że gdy przyjechałem do Polski po około 10 dniach od Wielkiego Tygodnia, oczekiwałem, że natrafię

na wiele śladów tego duchowego uniesienia, jak po Solidarności, jak po pielgrzymkach. I byłem rozczarowany, bo nie dostrzegłem takich śladów. Natomiast z rozmów z ludźmi wyniosłem wrażenie, że wielu z nich ma poczucie, że mimo tych uniesień kręcimy się w kółko. I tutaj dochodzę do punktu, który, pomijając kwestię rewolucji duchowej Kościoła, jest chyba problemem zasadniczym: czy tego typu doświadczenie da się przełożyć na politykę, czy nie. Bo kiedyś, po pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II, się przełożyło. Zgodziłbym się z Bronkiem Wildsteinem: żebyśmy się nie kręcili w kółko, trzeba właśnie takiej zmiany instytucjonalnej, realno-politycznej. Czy to doświadczenie – fundamentalne przecież – da się jednak w ogóle przełożyć bez zafałszowania na język realnej polityki? Być może jedyna uprawniona próba takiego przekładu może polegać na tym, żebyśmy z punktu widzenia tego doświadczenia dokonali tylko dekonstrukcji dotychczasowych, nieprawdziwych wyobrażeń o nas samych. Na przykład tych o religii, która nie ma wymiaru społecznego, albo tych o populacji, którą rzekomo się staliśmy... Natomiast bałbym się pomysłu zagospodarowania tego doświadczenia w sposób wprost polityczny.

DARIUSZ GAWIN: To jest kwestia rozpoznania czegoś, co jest...? jak by to powiedzieć? Może trzeba przywołać metaforę rzeki, która wybija skądś, płynie, a potem znowu znika za skałami. Ale to, że jej nie widać, nie znaczy, że nie istnieje. Tak właśnie dzieje się teraz.

Tego, co się ujawnia – nie da się zagospodarować, to się po prostu objawia. Objawia się wieczna polskość z jakimiś śladami w naturze, objawia się w kolejnych momentach historycznych w różnych kostiumach: od Solidarności do takiego ruchu jak w sprawie wolności na Ukrainie, czy teraz. Chodzi więc o umiejętność rozpoznania takiej polskości, objaśnienia jej. Nawet kiedy ta rzeka znika pomiędzy skałami, to

działa ona w taki sposób, że zakłada się, że ten potencjał cały czas tam tkwi, nawet niezagospodarowany. Że ci ludzie – chociaż się rozproszyli – cały czas istnieją.

Znowu przyjdzie taki moment, że za sprawą świata medialnego ludzie powiedzą: cała rzeczywistość to jest ekonomia, cała rzeczywistość to jest zarządzanie, cała rzeczywistość to jest politykierstwo, cała rzeczywistość to jest to, co zazwyczaj w dzienniku telewizyjnym, we wszystkich stacjach po kolei. A tak naprawdę ten, kto jest mądry, potrafi zrozumieć ostatnie objawienie wiecznej polskości, zakładając, że za jakiś czas będzie następne. Należy myśleć i działać tak, jakby się działo dla tamtej, którą się zobaczyło, chociaż, oczywiście, przyjdą, zakrzyczą, zrobią wywiad, że to jakaś nieprawda, że wyszły ostatnie badania sondażowe, że postępuje sekularyzacja, albo że się ludzie wstydzą flagi itd. A tu należy żyć i działać, zakładając, że ani się nikt nie sekularyzuje, ani się flagi nie wstydzi. To wymaga pewnego hartu, zakładu z rzeczywistością: że coś, czego nie widać, cały czas istnieje, bo jest głębiej ukryte.

ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Chciałbym do tego, co powiedział Darek Gawin, dodać jedną uwagę. Zgadzam się, że pierwszym, podstawowym zadaniem będzie opisanie tego doświadczenia w różnych wymiarach, na przykład socjologii religii czy teologii. Musimy odpowiedzieć na pytanie, co to wydarzenie dla nas tak naprawdę znaczy. Czy dążenia do duchowej odnowy są rzeczywiście silne (tego nigdy nie wiemy), czy też zaraz znikną na zawsze. Czy źródła wysychają... Dramatyzm sytuacji polega na tym, że mając gdzieś głęboko pod stopami tę znikającą często pod powierzchnią rzekę, żyjąc na powierzchni, mamy wrażenie, że wszystko usycha, że ta rzeka nie zasila tego, co znajduje się na powierzchni. Ludzie mówią: usychają instytucje, rozpada się

Polska po kwietniu

Zapis dyskusji

kompletnie państwo, niknie zaufanie do polityków. Nie wiem, czy to można odbudować, nawet po wyborach. Czy to się odbuduje kiedykolwiek? Czy może już nigdy...

DARIUSZ KARŁOWICZ: Odczuwam podwójną niewygodę z tą metaforą rzeki. Mam wrażenie, że w ogromnym stopniu to wrażenie znikania jest iluzją, łączy się z kwestią pewnej schizofrenii – gruntownego rozdźwięku między językiem a rzeczywistością, która nas otacza. Choć żyjemy zanurzeni po piersi w tej rzece, to naszą rzeczywistość opisujemy językiem, który nawet nie zna słowa woda. Tyle że czasem ta rzeka podchodzi tak wysoko, że już nie da się dłużej powtarzać tych wziętych z kserokopiarki mądrości i trzeba wreszcie zacząć mówić o tym, kim jesteśmy i co widzimy wokół. Wtedy na chwilę wszyscy mówią: „Och! Cud się jakiś wydarzył. Niezwykła historia. Skąd ta rzeka?”. Dużo bliższe są mi uczucia Pawła Kowala. Mam wrażenie, że siedzimy w tej rzece po szyję. Pozostaje tylko problem samopoznania. Niestety, rozbieżność opisu i rzeczywistości jest tak duża, że nawet bolesne chwile otrzeźwienia, kiedy widać wyraźnie, że trzeba by mówić jakimś innym językiem, bo tamtego już się nie da stosować – szybko znikają z pamięci elit. Dlatego już w chwilę później ten zabawny język obcy powraca i uczeni znowu zajmują się pytaniem, jak postępuje nieuchronny proces sekularyzacji, czy wiara zagraża modernizacji i jak to katolicyzm sprzyja przemocy wobec kobiet. Po prostu nie ma pomysłu, jak o tej rzeczywistości mówić.

KS. TOMASZ WĘCŁAWSKI: Jeszcze jedną rzecz dopowiem... Ilustrację tego, skąd się tyłu ludzi tu wzięło. (Takie samo zdanie padło w Poznaniu z bardzo wysokich ust: „A kto ich tu zaprosił?”). I to równoległe do innego działania „organizacyjnego”: listu, który dostali wszyscy proboszczowie w tym samym czasie –

że mają obowiązkowo „dostarczyć” pewną liczbę autobusów z wiernymi na koronację ob-razu w pewnej miejscowości.

To tylko mimochodem, dla ilustracji. Natomiast chciałbym zwrócić uwagę na dwie rzeczy, które powiedziałem z zastrzeżeniami wobec organizacji. Robię te zastrzeżenia tylko dlatego, żeby jeszcze raz nie wpaść w tę samą pułapkę, że zamiast piętnastu ruchów będziemy mieli szesnaście – oczywiście ten szesna-asty propagowałyby coś innego niż pozostałe, może byłby bardziej uniwersalny, ale będzie znowu pomysłem tego samego rodzaju. Myślę, że wszystko idzie nie w tym kierunku, ale to zastrzeżenie robię.

Z politycznego punktu widzenia wszystko to mi się wiąże w jednym miejscu. Jeżeli się patrzy na to, co się udało w Polsce – to pewne rzeczy udały się w polityce. A udały się te, w których ludzie występują jako oni sami, we własnym imieniu. Tak się dzieje stosunkowo często w samorządach. To nie jest ten poziom, na którym trzeba „giełdy oskarowej”. Za to trzeba wykonywać cały szereg konkretnych prac. To są takie niewielkie miasta, gdzie się ludzie znają, więc co on ma ukrywać? Tutaj wszyscy wiedzą, jaki kto jest, co zrobił, a czego nie zrobił i dlaczego. To znaczy, że trzeba sobie nawzajem pomóc; nie bać się siebie, nie bać się tego, kim jestem, co o sobie wiem – i czego nie wiem. (A jest bardzo dużo takich, którzy się boją i nie odważają się działać nie-standardowo – bo „tak się nie mówi”, bo „tak się nie robi”, bo „nie wiadomo, co pomyślą...”). To, co chcę zaproponować, jest na tym poziomie. Przy całkowitej świadomości, że brakuje nad tym znacznego piętra, bez którego nie może funkcjonować tak duży organizm społeczny, jakim jest Polska, a nawet różne mniejsze społeczności wewnątrz niej.

I jeszcze jedno – teraz powiedzą panowie, że już całkiem zwariowałem: ale skojarzył mi się

z naszą rozmową pewien tekst, jaki podsunęła mi jedna z osób, z którymi rozmawiałem w tych dniach. To zakończenie drugiej *Elegii duinejskiej* Rainera Marii Rilkego, gdzie jest obraz rzeki, podobny – i inny zarazem: *Byśmy i my weszli w to czyste, skryte, ściśle / ludz-*

kie, i w naszą tylko pięć żyznej ziemi / między potok i głąz. Bo nasze własne serce bardziej jest / niżli my i tamte. I nie zdołamy już w nic / więcej wejrzeć, ani w obraz, którym się koi, / ni w boskie ciała, w których przewyższa swą miarę.

Marek A. Cichocki

filozof, politolog, adiunkt w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych UW, dyrektor programowy Centrum Europejskiego Natolin.

Jan Ołdakowski

dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego, poseł na sejm RP V kadencji, przewodniczący sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu.

Dariusz Gawin

historyk myśli politycznej, pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN oraz w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Jacek Salij OP

dominikanin, teolog, profesor UKSW, kierownik Katedry Teologii Dogmatycznej UKSW, członek Komitetu Nauk Teologicznych PAN.

Andrzej Gniazdowski

filozof, sekretarz Polskiego Towarzystwa Fenomenologicznego, pracuje w IFiS PAN.

Zbigniew Stawrowski

filozof polityki, pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN i Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie.

Jarosław Gowin

publicysta, wieloletni redaktor naczelny miesięcznika „Znak”, Rektor Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera, senator VI kadencji Senatu RP.

Ks. Tomasz Węcławski

profesor UAM, teolog, członek Komitetu Nauk Teologicznych PAN, członek Rady Nauki.

Dariusz Kartowicz

filozof, prezes Fundacji Świętego Mikołaja.

Paweł Kowal

historyk, poseł na Sejm RP V kadencji, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Bronisław Wildstein

dziennikarz, publicysta, pisarz, prezes zarządu TVP S.A.

Zdzisław Krasnodębski

filozof, socjolog, profesor Uniwersytetu w Breme oraz UKSW, kierownik Katedry Współczesnej Myśli Socjologicznej UKSW.